

Świat nieprzedstawiony

Pogarda może usprawiedliwić pokusę totalnego odrzucenia. Zagajewski krytykuje naturalnie współczesną sobie wersję Polski dzieciństwa, ale też chce ją zrozumieć. Warunkiem zwycięstwa jego pokolenia i jego formacji nie może być prosty gest potępienia – bo świat, który opisuje, to także jego świat.



Kłopot z naszym rządzącym establishmentem polega na tym, że kiedy już uśpi Polaków, sam też idzie spać. Światło w oknach gaśnie i zaczyna się za nimi kotłować najczarniejsza noc historii

Wyobraźnia po prawej stronie zajęta jest wizją budowy „drugiego obiegu” i „drugiej Polski”, równoległej rzeczywistości istniejącej obok tej oficjalnej i państwowej. Takie obrazy odsyłają nas do lat późnego PRL-u. Może bardziej nawet do lat siedemdziesiątych niż do czasów

„wojny jaruzelskiej”. Kraj, tak jak wtedy, modernizuje się, z wielkich rozgrzebanych budów wyłaniają się – pomału, ale jednak – wielkie inwestycje, Polacy oddają się konsumpcji, a piłka nożna jako temat roznieca gorączkę w mediach. Opozycjoniści nie muszą jeszcze konspirować i schodzić do podziemia jak w latach osiemdziesiątych. Na razie wystarczy hasło budowania alternatywnego społeczeństwa, życia w prawdzie i budowania archipelagu wysp wolności oblewanych przez ciemne fale oceanu obojętnej większości i wrogiej władzy.

Ta analogia ma dla prawicy dwojaki sens – stanowi jednocześnie diagnozę upadku, do jakiego Polskę doprowadziły rządy Platformy Obywatelskiej i przynosi obietnicę zwycięstwa. Jeśli bowiem przeżywamy teraz coś w rodzaju pastiszu epoki gierkowskiej, to nieuchronny musi być także jej finał. Czyli społeczny protest na miarę Sierpnia '80. A że III Rzeczpospolita to jednak nie jest prosty odpowiednik PRL (bo w końcu mamy demokrację i Europę – co każdy co bardziej krewki publicysta prawicowy wie, ale głośno nie powie, bo ta prawda działa demobilizująco), to powtórki z Grudnia '81 nie będzie. Zło zostanie unicestwione i możliwy stanie się powrót do istoty polskości i do Prawdziwej Polski.

Można naturalnie zbyć tego rodzaju analogie wzruszeniem ramion, jak robi to większość medialnego establishmentu. Do tego potrzeba jednak całkowitej ślepoty na stan polskiej rzeczywistości. Z kolei po prawej stronie bezsila oraz i gniew spowodowane katastrofą smoleńską i jej konsekwencjami skutkują coraz bardziej radykalnymi oskarżeniami, z których to o zdradzie jest jednym z najłagodniejszych. I tak z jednej

strony mamy polityczną ślepotę, z drugiej zaś zaślepienie słusznym gniewem. Czyli pat. Co w takiej sytuacji pozostaje? Jak proponował niegdyś Leszek Kołakowski – *notabene* na początku lat siedemdziesiątych – trzeba wszystko przemyśleć od nowa. Zrobić choćby kilka pierwszych kroków. Zacząć wypada od Platformy Obywatelskiej, ale rozumianej nie tyle jako partia polityczna, ile raczej jako pewna formacja społeczno-kulturowa. Właśnie – formacja. Trwałość rządów tego obozu politycznego wykracza poza zwykłe mechanizmy partyjnej, demokratycznej polityki. Takiego wpływu nie uzyskuje się przy pomocy samej, choćby najdoskonalszej, wirtuozerii medialnej. Moja teza brzmi: Platforma jest dziś silna, ponieważ stała się polityczną reprezentacją czegoś autentycznie rodzimego, jakiegoś elementu naszej narodowej tożsamości. Tożsamość tak dużej wspólnoty jak naród to twór skomplikowany i współistnieje w nim wiele składników, często pozornie wykluczających się wzajemnie. W zależności od epoki jedne jego składniki są wzmacniane, inne odsuwane na bok lub zgoła marginalizowane. Prawo i Sprawiedliwość także wyraża jakiś istotny element tejże tożsamości i dlatego, choć od lat w opozycji, jest również trwałym składnikiem naszej rzeczywistości. Tu zresztą należy szukać także przyczyn gwałtowności naszej mentalnej wojny domowej: walczą ze sobą nie tyle partie polityczne, ile kulturowe formacje. Partie są tylko formą politycznej reprezentacji tych różnych modeli polskiej tożsamości. Jeśli chodzi o naturę formacji, której reprezentację stanowi partia Jarosława Kaczyńskiego, odpowiedź wydaje się prosta. Za Dariuszem Karłowiczem można określić ją jako mieszaninę sarmackiej konfederacji i romantycznej insurekcji. To, co dobre w tym modelu polskości pochodzi w prostej linii od dawnego polskiego republikanizmu – szczery patriotyzm, uporczywe obstawanie przy polskiej idei wolności, niezłomność. Przywary tej formacji są zszyte z republikanizmem jak podszewka z kontuszem – skłonność do egzaltacji (prowadzi to do notorycznej przesady w polskiej retoryce

politycznej), pieniactwo, niezdolność do budowania instytucji, które byłyby w stanie przytrzymać moc na krótko pojawiającą się w momentach politycznej mobilizacji.

Z partią Donalda Tuska sprawa ma się inaczej. Odpowiedzi udzielane przez prawicowych publicystów – analogie z czasami saskimi czy Targowicą – są równie efektowne, co chybione. Dyktuje je nie tylko wspomniany bezsilny słuszny gniew, lecz także odruchowe poszukiwanie w naszym współczesnym dramacie zgodności czasu, miejsca i akcji. Jeśli prawica sama o sobie myśli jako o współczesnych konfederatach, to logiczne wydaje się obsadzenie strony przeciwnej w kostiumach z tej samej epoki. Jeśli zatem po jednej stronie jest Bar, po drugiej muszą być pachołki Moskali. Tymczasem przeszłość płata nam figle, w rzeczywistości bowiem skonfliktowane tu i teraz formacje mogą odsyłać nas do obrazów z różnych epok historycznych. W skomplikowanej dziejowej rzeczywistości narodu ciągłość i nieciągłość, diachronia i synchronia mogą się mieszać i występować obok siebie. Dokładnie tak, jak cechy narodowego charakteru współistnieją tu i teraz w żyjącym pokoleniu, lecz jednocześnie historycznie posiadają korzenie w różnych epokach. Jeśli zatem zgodzimy się, że za pomocą obrazu sarmackiej konfederacji można uchwycić coś istotnego w polskim sposobie życia doby obecnej, to nie musimy automatycznie poszukiwać rewersu tej postawy w recydywie Targowicy; jeśli przekonuje nas analogia do romantycznego insurekcyjizmu uprawianego przez stronnictwo „czerwonych” w XIX wieku, to nie oznacza to automatycznie, że polityczni przeciwnicy tak scharakteryzowanej opcji są odpowiednikami dziewiętnastowiecznych „białych”. Może być tak, że przeciwnikami współczesnej konfederacji są zwolennicy jakiegoś innego modelu tożsamości polskiej. Pytanie – jakiego?

Żeby spróbować na nie odpowiedzieć, trzeba podjąć próbę poważnego potraktowania metafory odwołującej się do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Pomóc nam może głośna wówczas książka – *Świat nie przedstawiony* Adama Zagajewskiego i Juliana Kornhausera, wydana w 1974 roku. Dwóch przedstawicieli Nowej Fali, szukającej literackiego wyrazu dla doświadczenia pokolenia Marca '68, apelowało o zwrócenie się w stronę codziennej rzeczywistości PRL jako realnej i zastanej rzeczywistości, którą trzeba zrozumieć i opisać. Torowali tym samym drogę nie tylko dla młodej literatury, kina moralnego niepokoju, lecz także dla niepokornych inteligentów, przyszłych opozycjonistów z KOR-u i Solidarności. Sugerowali swoim czytelnikom – na więcej niż sugestie nie mogli się zdobyć w warunkach cenzury – że warunkiem zmiany politycznej jest opis, przedstawienie nieprzedstawionej, wulgarnej w swej potoczności lub po prostu banalnej, rzeczywistości PRL. Oddajmy im głos: „Łatwo wymienić największe sukcesy kulturalne ostatnich lat. Operetka *Miłość Szejka* cieszyła się niesłabnącym powodzeniem w Warszawie. Operetka *Najpiękniejsza* cieszy się niesłabnącym powodzeniem w Krakowie. Wojewódzkie Estrady przygotowują coraz to nowe składanki artystyczne. Zgaduj-zgadula po raz dwusetny triumfalnie objeżdża kraj. Telewizja występuje z programem »Z wizytą u was«, aby robotnikom wielkich zakładów przemysłowych przestawić arie operetkowe. Irena Dziedzic rozmawia z Haliną Kunicką, Jerzy Połomski śpiewa. Oto bohaterowie kultury”. Zagajewski – bo on pisał ten fragment – zauważa, że wszystkie te zjawiska łączy jakiś wspólny fałszywy ton, jakaś prowincjonalna pompatyczność, fałszywa grzeczność, sprawiająca, że obok siebie znajdują się Lucjan Kydryński i powiatowi konferansjerzy (za kilka lat obejrzymy okaz tego gatunku w *Wodzireju* Feliksa Falka), Irena Dziedzic i wokaliści dancingu w Świeradowie – są znani, mieszkają w każdym domu, „przez ścianę telewizora sąsiadują z każdą rodziną”.

Czy czegoś nam ten opis nie przypomina? Wystarczy przecież w ten opis wstawić „Taniec z gwiazdami” zamiast „Zgaduj-zgaduli”, Irenę Dziedzic zastąpić Kubą Wojewódzkim, a Jerzego Połomskiego zamienić na Edytę Górniak, hit gierkowski „Z wizytą u was” na jakąś produkcję Józefowicza z Nataszą Urbańską, dorzucić jeszcze jedną czy dwie komedie romantyczne i będziemy mieli wypisz, wymaluj to samo. To są ci wszyscy *bright and beautiful*, którzy „przez ścianę telewizora sąsiadują z każdą rodziną”. Kultura lekka, łatwa i przyjemna – żeby strawestować tytuł popularnego 40 lat temu programu Lucjana Kydryńskiego. Mężczyźni elokwentni, kobiety piękne, stroje eleganckie, muzyka wesola. Nawet historyczne i biograficzne korzenie współczesnej „niebieskiej telewizji”, która ustala standardy popkultury sięgają epoki lat siedemdziesiątych, do Studia Dwa.

Tak jak wtedy, prawie wszyscy są zadowoleni. Prawie, bo pod spodem daje się wyczuwać jakiś „fałszywy ton”. Ale nie jest to uczucie powszechne. Większość zdaje się zachwycona, spędza godziny przed telewizorem, traktuje celebrytów jak autorytety, nuci piosenki i powtarza *bon moty*. Kontestatorzy to mniejszość, radykalna w swoim dążeniu do prawdy, nawet jeśli miałyby to być prawda przykra. Niepokorni inteligenci w rodzaju Zagajewskiego oglądają rozrywkową produkcję telewizji Macieja Szczepańskiego, ale pamiętają dobrze, że kilka lat wcześniej był Marzec i Grudzień, że jest ubecja i cenzura. Większość wydaje się ogłupiałą masą „lemingów”, która za kolorowy telewizor, małego fiata i wczasy w Bułgarii gotowa jest zapomnieć. Tak samo i dziś – prawicowi niepokorni inteligenci, oglądając w niedzielę wieczorem show w TVN, nie mogą zapomnieć, jak powstawała III Rzeczpospolita, kto budował mainstreamowe media i że była katastrofa smoleńska. Reszta albo nigdy tego nie wiedziała, albo wołała

zapomnieć, bo pamięć o takich przykrych rzeczach przeszkadza w codziennym życiu. Świat medialny to rodzaj zasłony, kryjącej prawdę o mechanizmach władzy.

To dlatego niepokorny inteligent jest surowym sędzią swoich rodaków. Zagajewski odpowiadając na pytanie, dlaczego w wyścigu o masową publiczność gierkowscy celebryci wyprzedzają Ewę Demarczyk i teatr Grotowskiego, Bułhakowa i Herberta odpowiada: „Wydaje się, że spotkanie tych bohaterów z publicznością jest spotkaniem dwóch obozów Polski dziecięciniałej, która przeżyła złe czasy i rozsiadła się wygodnie przed telewizorami. Ludzie pogrążeni w życiowym fałszu, dobrze zabezpieczeni konformiści, mali kłamcy zadowoleni z siebie, znajdują tu swoją sztukę. Tu wszystko jest dla nich. Kraina pozoru życiowego odnajduje się w pozorze sztuki, rozleniwione życie trafia na rozleniwioną sztukę i zagłusza wyrzuty sumienia. Sztuka tej wielkiej operetki, fałszywa, pełna tolerancji dla własnych niedostatków, połowiczna, zakłamana, minoderyjna, doskonale porozumiewa się z tchórzliwymi karierowiczami, ostrożnymi defraudantami finansowymi i moralnymi, którzy po powrocie z pracy wkładają ciepłe pantofle”. W tym rozumowaniu daje się wyczuć ton pogardy, dokładnie taki sam, jaki można znaleźć w prawicowej publicystyce opisującej świat współczesnych „lemingów”.

Widać jednak także istotną różnicę. Pogarda może usprawiedliwić pokusę totalnego odrzucenia. Zagajewski krytykuje naturalnie współczesną sobie wersję Polski dziecięciniałej, ale też chce ją zrozumieć. Warunkiem zwycięstwa jego pokolenia i jego formacji nie może być prosty gest potępienia – bo świat, który opisuje, to także *jego* świat. Młodzi nie pamiętają już „przedwojny”, owego wymarzonego świata, na powrót którego bezskutecznie czekają starsi. Jedyne świat,

jaki znają to „świat służbowych delegacji, sal ze stołem prezydiąlnym pokrytym czerwonym sukniem, pochodów pierwszomajowych, konferencji, ludzi idących wcześniej rano do pracy”. Być może ten świat jest „równie głębokim światem, jak ten, który istnieje tylko w marzeniach”. Jak dodaje Zagajewski – „być może (...) gdyby odsłonić jego problemy, gdyby dotrzeć do jego prawdy, szczęścia i nienawiści, okazałyby się równie pełnym i godnym literatury światem”. Prawdziwa zmiana, przyszłe zwycięstwo powinny zostać poprzedzone wysiłkiem umysłu i serca. Aby ją zmienić, trzeba tę rzeczywistość zrozumieć i przeboleć – jako *swoją*, a nie *obcą*.

Świat PRL, nie tylko pełen politycznego zła, lecz także banalny, płytki i załgany, jest „światem nieprzedstawionym”. Oficjalny obraz skonstruowany jest z kłamstw i półprawd. Literatura – obydwaj autorzy to poeci i krytycy literaccy – nie spełnia swego zadania, ponieważ nie mogą wprost odnieść się do najważniejszych kwestii, prowadzi różnego rodzaju gry narracyjne. Rzeczywistość pozostaje zatem bezpieczna, pozostawiona sama sobie. To, co społeczne, wielkie cielsko społecznego życia bez końca konsumuje, trawi i wydala. Jego wegetatywna egzystencja pozbawiona jest nie tylko wolności i politycznej woli, lecz także samoświadomości. W takich warunkach literatura to instrument – jak byśmy dziś powiedzieli – metapolityki. Zagajewski i Kornhauser nie mogą tego napisać wprost, lecz ich książka zawiera czytelną sugestię, że opisanie, przedstawienie świata stanowi jeden z warunków politycznej zmiany. Zmiany w kierunku wolności. Osąd oficjalnego obrazu rzeczywistości to kwestia dość oczywista. Interesujący jest raczej sposób, w jaki tłumaczą niezdolność starszego pokolenia pisarzy do „przedstawiania świata” ich własnego pokolenia: „Dla większości czynnych pisarzy, dla dominującej postawy pisarskiej świat, w którym żyjemy, jest za mało kulturalny, za mało europejski, aby być godny stać się przedmiotem wszechstronnej obserwacji. Są to

pisarze, którzy chodzili do solidnych przedwojennych gimnazjów, uczyli się greki i łaciny, umieją z pamięci cytować Horacego, mają żelazny zasób wiadomości i przekonań. (...) Świat dla absolwentów tych porządných gimnazjów wywodzi się w prostej linii z klasycznej tradycji i jasnych podziałów, jest to świat kulturalny i przejrzysty. Powstanie po wojnie całkiem nowego świata, gorycz doświadczeń towarzyszących jego genezie sprawiły, że tradycyjna orientacja w świecie zawiodła, stała się planem nie istniejącego miasta. Natomiast rzeczywistość odstała od kultury, została gdzieś z tyłu – nie do zobaczenia, nie do opisanego, drugorzędna rzeczywistość biur i trolejbusów, zebrań i czynów społecznych”.

Dokonajmy zabiegu przeniesienia tego opisu w dzisiejszą rzeczywistość. Pisarze starszego pokolenia opisywani przez Zagajewskiego i Kornhausera to dzisiejsza formacja prawicowa. Istota tej analogii nie polega na tym, że są oni „przedwojenni”, bo przecież w znacznej części jest to pokolenie, które dorosło i dojrzało przed 1989 rokiem. Nie sposób zatem przeciwstawić współczesnej rzeczywistości wyższej jakości kultury przedwojennej. Nie chodzi tutaj jednak o chronologię, lecz o sedno postawy wobec świata. Tak, jak tamci starsi pisarze, formacja prawicowa przeciwstawia otaczającej rzeczywistości archetypy i mity. Realnej Polsce Platformy, TVN i „Gazety Wyborczej”, którą gardzi, przeciwstawia wieczną Polskę, w której wartością najwyższą jest świadomy sobie patriotyzm, siła i podmiotowość Rzeczypospolitej. To są wartości, o których myśli się i mówi bez przerwy, w stanie najwyższej koncentracji. W stosunku do realnej Polski zdzieciniałej możliwe są tylko refutacje, szyderstwa lub wyrazy pogardy. Społeczne cielsko pogrążone w kołowrocie wegetacji to bierna materia, którą powinno się kształtować. Jego kształt traktuje się jako przejściowy, możliwy do cofnięcia i zmiany. Nie „ta” Polska jest ważna, lecz „tamta”, bo „ta” jest zbyt niska, wulgarna, potoczna, bo

pozbawiona jest dumy, wielkości, majestatu. Idei prawdziwej Polski strzeże – jak pisał Dariusz Karłowicz – permanentna konfederacja prawdziwych Polaków. Nie jest ona jednak zdolna do pozyskania większości, pogrążonej w płaskiej i tak dalekiej od ideału rzeczywistości. Konfederaci obwieszani ryngrafami, zaciskający dłonie na szablach, ocierający z wąsów łzy krążą po lasach, ale nie mogą dostać się do miast i twierdz. Przechowują pamięć o zobowiązaniu, jakim jest wieczna Polska, ale *pays reel* kontroluje kto inny.

Jeśli prawica skupia swoje uczucia pozytywne na „tamtej”, idealnej Polsce, to formacja rządząca z kolei koncentruje się wyłącznie na „tej” Polsce. Mity, archetypy i idee to dla niej recydywa dawno przewyciężonej gorączki romantycznej. Kto tego nie rozumie, jest śmieszny i anachroniczny, „wyginie jak dinozaury”, przypomina żywą skamielinę. Kto do oceny działań polskiego rządu po katastrofie używa takich pojęć jak duma, majestat, wielkość, ten jest nieodpowiedzialnym awanturnikiem, myli różne poziomy rzeczywistości i z pewnością zaszkodzi „resetowi” w relacjach z Rosją. Polska polityczność dzieli się na światły obóz rządzący, administrujący procesem modernizacji, oraz nieodpowiedzialną, rozgorączkowaną konfederacką opozycją. Jediną realną Polską jest domena tego, co społeczne – konsumpcji, wzrostu, rozrywki. Jaka siła społeczna dominuje w tej sferze? Pewnej intrygującej wskazówki dostarcza nam tekst Zagajewskiego i Kornhausera. Padało już wcześniej określenie „Polska dziecienniała”, które odsyła nas do Brzozowskiego. Istotą formacji dziecienniałych nie jest, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, sienkiewiczowski tradycjonalizm. Chodzi tu raczej o mieszczaństwo czy – by użyć dawnego języka – burżuazję, wyłaniającą się na przełomie stuleci z miazgi, na jaką starto w XIX wieku szlachtę. Uosobieniem tej formacji

był dla Brzozowskiego sienkiewiczowski Połaniecki. W sensie społecznym przedstawiciel mieszczaństwa, czy też – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – klasy średniej.

Paradoksalność dzisiejszego konfliktu politycznego polega zatem na tym, iż współcześni konfederaci nie walczą z Targowicą, lecz z mieszczanami, z połaniecczyzną i jej polityczną reprezentacją (zostawmy na boku kwestię, dlaczego autor *Płomieni* nie rozumiał i nie mógł dobrze zrozumieć Sienkiewicza – chodzi o stereotyp, który skonstruował i puścił w obieg). Jego dodatkowym wzmocnieniem jest to, że liberalno-lewicowa inteligencja, walcząca cały czas zaciekle z Sienkiewiczem na gruncie ideologii i interpretacji historii, wspiera partię, która stanowi polityczną reprezentację współczesnej połaniecczyzny. Być może wynika to po części z faktu, iż znaczna część owej inteligencji zmieniła się niepostrzeżenie w burżuazję, czytaj – klasę średnią. Rozczytują się do dzisiaj w Brzozowskim myśląc, że chłoscze on prawicę dawną i współczesną, i nie dostrzegając, że ta krytyka wymierzona jest w nich samych.

Kardynalną cechą każdego mieszczaństwa – niezależnie od tego, czy jest to rodzina Dulskich mieszkająca w krakowskiej kamienicy sto lat temu, czy też jej współczesny odpowiednik z warszawskiego apartamentowca – jest hipokryzja. Łączy się ona zawsze z ekonomiczną efektywnością, podszytą odpowiednią dozą brutalności w sferze społecznej oraz gnuśnością – czytaj: polityczną poprawnością – w sferze ducha. Cel tego życia pozostaje taki sam jak w czasach Zapolskiej: rodzinne szczęście i święty spokój, niezależnie od tego, jakie trupy kryją się w szafie i jakie brudy zamieciono pod dywan. Dziś ten ideał to mieszkanie na strzeżonym osiedlu, dzieci w prywatnej szkole, wakacje w Tunezji albo Hiszpanii, ferie zimowe w Alpach.

Spokojna i wesoła stabilizacja, bez wielkich dziejowych wyzwań. Czyli normalne życie, takie jak w Berlinie, Paryżu czy Londynie. „Normalność” to ważna kategoria. Pojawia się ona w krótkim, ale ważnym tekście Donalda Tuska z 1987 roku. W ostatnim numerze miesięcznika „Znak” z tego roku opublikowana została obszerna ankieta, której uczestnicy odpowiadali na pytanie: „Czym jest polskość?”. Wśród kilkadziesiątu autorów, takich jak Józef Czapski, Bronisław Geremek, Paweł Hertz, Jerzy Jedlicki, Stefan Kieniewicz, Marcin Król, Marcin Kula, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jacek Salij czy Henryk Samsonowicz, znalazł się także przyszły premier III Rzeczypospolitej. Tekst ten został przypomniany niedawno przez prawników publicystów z racji jednego zdania autora: „Polskość to nienormalność”. Przytaczano je jako dowód braku patriotyzmu szefa rządu. To nieporozumienie – w taki sposób, przez wyrwanie z kontekstu jednego stwierdzenia, można z każdego zrobić zdrajcę (intrygujące jest *notabene* zestawienie tytułów odpowiedzi Tuska i Rymkiewicza: „Polak rozłamany” *versus* „Polskość jako wszystko”). Warto tymczasem przywołać kontekst tego zdania, aby móc lepiej zrozumieć wiele z rzeczy, które dzieją się dzisiaj w Polsce. Tusk pisze: „Polskość jako zadany temat...Wydawałoby się: tylko usiąść i pisać. A tu pustka, tylko gdzieś w oddali przetaczają się husarie i ułani, powstańcy i marszałkowie, mającą Dzikie Pola i Jasna Góra, dziejowe misje, polskie miesiące i klęski. Zwycięstwa? Jak wyzwolić się z tych stereotypów, które towarzyszą nam niemal od urodzenia, wzmacniane literaturą, historią, powszechnymi resentymentami? Co pozostanie z polskości, gdy odejmiemy od niej cały ten wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń?”, I wtedy dopiero pada zdanie: „Polskość to nienormalność – takie stanowisko narzuca mi się z bolesną uporczywością”. Czytamy dalej: „Polskość wywołuje u mnie niezmiennie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnej ochoty dźwigać, a zrzucić nie potrafię (nie chcę

mimo wszystko?), wypaliły znamię i każą je z dumą obnosić. Więc staję się nienormalny, wypełniony do granic polskością, i tam, gdzie inni mówią człowiek, ja mówię Polak; gdzie inni mówią kultura, cywilizacja i pieniądz, ja krzyczę Bóg, Honor i Ojczyzna (wszystko koniecznie dużą literą); kiedy inni budują, kochają się i umierają, my walczymy, powstajemy i giniemy. I tylko w krótkich chwilach przerwy rozważamy nasz narodowy etos odrobinę krytyczniej, czytamy Brzozowskiego i Gombrowicza, stajemy się normalniejsi”. To dlatego polskość jest rodzajem projekcji naszych zbiorowych kompleksów – „Piękniejsza od Polski, jest ucieczką od Polski na tej ziemi, konkretnej, przegranej, brudnej i biednej. I dlatego tak często nas ogłupia, zaślepia, prowadzi w krainę mitu. Sama jest mitem”.

Warto zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze autor, choć sam żyzma się na tę mityczną, tradycyjną polskość, sam jest mocno osadzony w inteligenckiej tradycji. Brzozowski, Gombrowicz – w dalszej części cytuje też obszernie Andrzeja Bobkowskiego – to nie są ulubieni autorzy współczesnych „lemingów”. To zresztą nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, iż słowa te pisze jeden z członków opozycyjnego środowiska, wydającego w drugim obiegu jeden z ważniejszych *tolstych* *żurnalów* tamtych lat – „Przegląd Polityczny”. Prawdą jest, że dzisiaj ta polska normalność – taka jak dla wszystkich „normalnych” Europejczyków, którzy zawsze siadają przed telewizorami, gdy Barca gra z Realem – to nowe, olśniewające stadiony. Mistrzostwa Europy urządzone w Polsce muszą w tej perspektywie stanowić logiczny i ostateczny dowód wyjścia ze stanu „nienormalności”. Tyle z tego rozumie dzisiejsza połaniecczyzna i dlatego wybiera sobie właśnie taką polityczną reprezentację (która jest jednocześnie drużyną piłkarską po godzinach pracy). Lecz u Tuska jest coś więcej – on sam, jak w tytule swego tekstu, jest „rozłamany”. I to jest druga kwestia – pragnie on normalności, lecz jest zarazem „nienormalny”, to znaczy rozumie i

przyjmuje jako własną także tę część polskości, która go dręczy i irytuje. To dlatego w zakończeniu tekstu pisze: „(...) choć polskość wywołuje skojarzenia kreślone przez historię, jest ona także przecież dzianiem się, jest niepewnym spojrzeniem w przyszłość. I szarpie się między goryczą i wzruszeniem, dumą i zażenowaniem. Wtedy sędzę – tak po polsku, patetycznie – że polskość, niezależnie od uciążliwego dziedzictwa i tragicznych skojarzeń, pozostaje naszym wspólnym świadomym wyborem”. Czyli nawet jeśli polskość to brzemię, które los rzucił nam na barki nie pytając się nas o zgodę, to należy to brzemię – pomimo wszystkich obiekcji i zastrzeżeń – przyjąć.

Trzeba jednak pamiętać o momencie, w którym napisano te słowa. Mamy rok 1987, trwa pozycyjna wojna pomiędzy podziemną Solidarnością i całą opozycją demokratyczną, która jest zbyt słaba, by stanąć do rozstrzygającego starcia, a władzą, która nie jest w stanie zdusić społecznego oporu. Nikt, nawet w najśmielszych snach, nie przypuszcza, że „komunie” zostały raptem dwa lata rządów, bo wygląda na to, że ten pat trwał będzie jeszcze długo. Intrygujące, że po 1989 roku środowisko gdańskich liberałów w swoich politycznych wyborach było „rozłamane”. Przez pierwszych kilkanaście lat wolności sytuowało się raczej po prawej stronie polskich sporów – po stronie Wałęsy w czasie „wojny na górze”, czy też po stronie republikańskiego antypostkomunizmu w czasie fali obywatelskiego wzmożenia po aferze Rywina. Po 2005 roku nastąpił gwałtowny zwrot. Pierwiastki wcześniej zmieszane (PO-PiS) osiągnęły stan krystalicznej czystości – PiS stało się emanacją „nienormalności”, w której polskość to „dziejowe misje, polskie miesiące, zwycięstwa i klęski” oraz „wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń”, Platforma zaś „normalności”, w której polskość to „kultura, cywilizacja, pieniądz”, a Polska to kraj, w którym ludzie „budują, kochają się i umierają”, tak jak gdzie indziej, w tej „normalnej”, spokojnej, mieszczańskiej Europie.

Widać wyraźnie, że Platforma nie jest zaporą zbudowaną przez technokratycznych modernizatorów, którzy chcą trzymać z dala od władzy rozgorączkowanych ideologicznie konfederatów. Ona także stanowi pewien ideologiczny projekt, którego celem jest przekształcenie polskiej tożsamości. Choć jednak mówi o tym do wyborców językiem nowoczesnym, liberalnym, jej intencje wyrastają ze starych, tradycyjnych ambicji każdego pokolenia polskiej inteligencji, która oprócz wszystkich swoich zalet posiadała zawsze jedną istotną wadę: skłonność do paternalizmu. W końcu to ona zawsze wiedziała, czego trzeba ludowi, dużo lepiej od samego ludu. A choć dziś lud zastąpiła klasa średnia, to przecież nic nie zmienia w logice tej relacji. I jak tu się dziwić, że „Gazeta Wyborcza” jest zachwycona takim projektem?

Problem polega na tym – jeśli już mamy obracać się w kręgu inteligenckich toposów – że wizja mieszczańskiego życia jako ideału ludzkiego egzystencji doprowadzała do szału Brzozowskiego. W *Legendzie Młodej Polski* Brzozowski pisał: „Rodzina, utrzymująca się w świecie, poza nią wytwarzanym – przez kogo i jak, nie pytajmy o to – oto wykładnik światopoglądu. Pracę myślową nad pozostałymi problematami zastępowały dzwonek kościelny, opłatek i wielkanocne jajko. Nie byli ci Milusińscy w stanie uwierzyć, że istnieje jakiś inny świat. Sądzieli, że życie było w gruncie rzeczy zawsze takie samo, tak samo proste i bezzagadnieniowe. Nie dostrzegali dziejów, w jakich żyli, nie troszczyli się, co szepce noc poza ich czterema ścianami (...)”. Dzisiejsi mieszczaństwo nie polegają już w takiej mierze na opłatku, dzwonku kościelnym i wielkanocnym jajku – dzisiaj Brzozowski źródło płytkiej gnuśności widziałby w mediach, bo to telewizyjne show, publicystyczne pseudodebaty i celebryci podają prawdy do wierzenia i uczą klepać pacierze usypiające sumienie. Ale tak jak kiedyś, tak i dziś nie chcą troszczyć się o to, „co szepce noc” za oknami.

To kluczowy fragment u Brzozowskiego. Cóż takiego szeptem noc poza czterema ścianami warszawskich apartamentowców? Że świat nie jest wcale tak łzawo-pocziwy, jak wmawiali nam wielcy ojcowie założyciele naszej wolności, że Polska jak zawsze leży pomiędzy Rosją a Niemcami, że trwa ciągle bezpardonowa rywalizacja, walczy się o wpływy, że nasz kraj jest częściej przedmiotem niż podmiotem tej gry. Współcześni mieszczenie nie chcą tego słuchać. Dlatego wybierają rodzimą wersję polityki uprawianej także w innych krajach zachodnich – politycy są od tego, żeby społeczeństwo pogłaskać po głowie, poprawić kołdrę i zanucić kołysankę. Wszystko będzie dobrze, nocne czarownice i potwory to tylko bajki, noc minie, a jutro będzie znów słoneczny dzień. Nie ma w tym nic złego, pod warunkiem, że kiedy już społeczeństwo pogrąży się w przyjemnym półśnie, półomdleniu, uśmiechając się z zamkniętymi oczami do gwiazd wirujących w tańcu, politycy wychodzą na palcach i kiedy już zamkną drzwi, zakasują rękawy i biorą się za bary z tym wszystkim, o czym „szepce noc”. I robią to właśnie w imieniu i w interesie owego śniącego społeczeństwa. Tak jest w Niemczech, we Francji, w Anglii, o Stanach Zjednoczonych nie wspominając. Kłopot z naszym rządzącym establishmentem polega na tym, że kiedy już uśpi Polaków, sam też idzie spać. Światło w oknach gaśnie i zaczyna się za nimi kotłować najczarniejsza noc historii.

Prawica jest inna – ona doskonale wie, co szeptem noc. Jej problem z kolei polega jednak na tym, że zamiast nucić kołysankę, krzyczy Polakom prosto do ucha straszną prawdę. Ba! robi to bez przerwy, bez ustanku, żądając od mieszczan ciągłej i totalnej mobilizacji uwagi, sumienia i serca (przypominając w tym *notabene* Brzozowskiego – który od pani Dulskiej żądał pełnej, całkowitej i bezustannej mobilizacji do pracy-walki w obliczu „pozaludzkiego”. Każdy, kto czytał *Idee*, jest w stanie pojąć skalę tego nieporozumienia). A ludzie, choć są

w stanie mobilizować się, zawiązywać konfederacje, to przede wszystkim chcą żyć, chcą wziąć kredyt, kupić mieszkanie, mieć dzieci i pracę, żeby starczyło i na raty, i na wakacje. To prawda, że wiele w tym gnuśności, wiele politycznego dzieciennienia. Jednak mieszczenie to nie są ludzie bez serca i rozumu. Tylko że droga do ich serc i umysłów jest nieco kręta, bo musi uwzględnić wspomnianą wcześniej hipokryzję. Mieszczanin jest gotów do zachowań szlachetnych, pod warunkiem, że nie będzie się od niego żądało samooskarżenia za wcześniejszą głupotę, gnuśność czy tchórzostwo (czy w latach 90-tych właśnie z tego powodu prawica nie przegrała walki o poparcie ze strony PRL-skiej połaniecczyzny, wrzucając każdego partyjnego inżyniera czytającego Politykę do jednego worka z generałem Kiszczakiem?). Aby pozwolił on komuś sobą rządzić, musi uzyskać zapewnienie, że będzie się respektować tę cechę jego charakteru. Prawicowa formacja nie jest do tego zdolna – mieszczenie to dla niej pogardzane „lemingi”, które, jeśli tak można się wyrazić, mają fałszywą świadomość. Elektrowstrząsy to najlepszy sposób na wyrwanie mieszczan ze stanu omdlenia, na to, by powrócili do rzeczywistości i przyswoili sobie świadomość prawdziwą, to jest prawicową. Tylko kto dobrowolnie zaaplikuje sobie taką kurację?

Dlatego prawica przegrywa polityczną rywalizację. Dlatego też polityczna połaniecczyzna wygrywa z konfederatami – bo respektuje mieszczan wraz z ich przywarami i wadami, jako całość. Bo nic od nich nie wymaga (prawica od Polaków wymaga wielkości – mówi im to wprost i surowo rozlicza z oblanym egzaminów), bo ich chwali i troszkę im się podlizuje. Powtórzę: kłopot nie w tym, że to robi, bo robi tak dzisiaj każdy demokratyczny rząd, tylko w tym, że na tym jej polityka się kończy. Na takim obrocie rzeczy traci Polska. Problem polega bowiem na tym, że w manichejskiej wojnie domowej, jaką toczymy, w milczący sposób założyliśmy, że tylko jedna strona może mieć rację, że tylko jedna to światłość, a druga to siły ciemności. Prawda jest bardziej

skomplikowana. Formacja permanentnej konfederacji ogniskuje w sobie w najwyższym natężeniu polski republikański patriotyzm. Ale republikański patriotyzm jest tylko jednym ze składników polskiego życia, jednym z wielu elementów *całości*. W prawicowym myśleniu tymczasem republikański patriotyzm osiąga stan czystego destylatu, niezanieczyszczonego innymi pierwiastkami. Mieszczańska połaniecczyzna to także pełnoprawny element naszej tożsamości. Właśnie taka, ekonomicznie sprawna i gnuśna duchowo, skoncentrowana na przyjemnościach życia, odległa od wielkich zagadnień i projektów. Brzozowski mylił się w ocenie Sienkiewicza, ponieważ uważał, że należy to zwykłe polskie życie wykorzenić i unicestwić – w imię świadomej i odpowiedzialnej wielkości, uosobionej w polskim robotniku. Jednak czynić tego ani nie należy – bo polskie życie, aby było silne, musi być zróżnicowane – ani po prostu nie sposób. Nie ma bowiem takiej siły na świecie, która by tę gnuśną i zarazem piękną stronę polskiego życia unicestwiła. Przekonali się o tym zaborcy, przekonali Niemcy, przekonali i komuniści. To byli agresorzy, słusznie więc ponieśli klęskę. Przekona się o tym jednak i prawica, która chciałaby to zrobić z miłości ojczyzny (i przekona się również nowa lewica, która znów na rewolucyjną modłę odczytuje dziś *Płomienie*).

Połaniecczyzna stanowi o sile tego, co społeczne w Polsce. Pracuje, konsumuje, trawi i wydala, pogrążona w kołowrocie dziejowo-biologicznej egzystencji lub – by przywołać Nietzschego z *Niewczesnych rozważań* – uwiązana „na kołku chwili”. Ale też buduje fundamenty pod siłę (lub słabość) polskiej cywilizacji, tego, co sprawia, że polskie życie może toczyć się na co dzień w zorganizowany sposób. Ponieważ zaś Polska postąpiła daleko na drodze budowy nowoczesności w ostatnich dwudziestu latach, mieszczaństwo jest dziś siłą społecznie i kulturowo dominującą – wraz z tymi, którzy aspirują

do jej modelu życia stanowi większość, przede wszystkim większość w znaczeniu politycznym. Co jednak znaczy wielki nacisk tego, co społeczne, pozbawiony pierwiastka polityczności? Zamienia się w masę toczącą się siłą bezwładności, zależną koniec końców od zewnętrznych okoliczności.

Ktoś może odnieść wrażenie, że te uwagi to kolejny lament po PO-PiS-ie. Nic podobnego. Do tej możliwości nie ma już powrotu. Żyjemy nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie – w tym sensie krajem, w którym żyjemy, jest nie tylko geograficzna Polska, lecz także Polska rozumiana jako *pokolenie*. Żyjemy w politycznym pokoleniu, którego korzenie sięgają lat siedemdziesiątych, a którego kres jest jeszcze przed nami. Na czele najważniejszych politycznych formacji stoją ludzie, którzy zaczęli uczyć się polityki w opozycji demokratycznej i w pierwszej Solidarności. To oni przetrwali stan wojenny i obalili komunizm, to oni wywalczyli wolną Polskę i w chwilę potem starli się w „wojnie na górze”, której stawką był kształt niepodległości. Przez krótką chwilę, po aferze Rywina, wydawało się, że można wykroczyć poza logikę tego starcia. Dzisiaj, szczególnie po katastrofie smoleńskiej, już wiemy, że nie jest to możliwe. Żadna ze stron nie osiągnie w tej wojnie zwycięstwa na warunkach, jakie obiecuje swoim zwolennikom – to znaczy nie unicestwi strony przeciwnej. Żadna też nie osiągnie prawdziwie trwałego, historycznego sukcesu – bo żadna nie jest już zdolna do syntezy konfederackiego republikanizmu i liberalnej połaniecczyzny. Dlatego przez czas jakiś będziemy mieli do czynienia z republikanizmem bezsilnym i bezwolną połaniecczyzną. Ale to, co jest długie w perspektywie pokolenia, nie jest długie w perspektywie historii. Przyszłość nadejdzie tak czy inaczej, a wtedy pojawi się także możliwość połączenia na polską modłę tego, co społeczne z tym, co polityczne.

Bo przecież Polacy nieraz udowodnili, że potrafią tworzyć taką syntezę. Z wielu możliwych przykładów przywołajmy na koniec pokolenie, w którym niegdyś żyli przez pięćdziesiąt lat: pokolenie Piłsudskiego i Dmowskiego. Jeden ogniskował w sobie siłę polskiej polityczności – siłę inteligencką, cokolwiek straceńczą, ale jednak także twardą; drugi siłę polskiej połaniecczyzny, polskiego mieszczaństwa, zamożnego, efektywnego, potrafiącego dbać o własne interesy. Obaj potrafili zbudować mechanizmy przytrzymujące polską moc, zaprzac ją do pracy na rzecz niepodległości i wykorzystać do budowy państwa. Szczególnie postać Piłsudskiego jest tu wymowna. Żeby zrozumieć, na czym polegała synteza różnych pierwiastków polskości w jego wydaniu, sięgnijmy do *Generała Barcza* Juliusza Kadena-Bandrowskiego, być może najmądrzejszej polskiej powieści politycznej. Jest to spojrzenie na naszą rzeczywistość z perspektywy piłsudczyka, stąd koncentracja na sprawach wojska, tajnych służbach, intrygach, ale też na obyczajowej i finansowej stronie walki o władzę. Zwykle, normalne „połanieckie” życie na ogół bywa przez ten zakon „braci w polityczności”, jak by można nazwać piłsudczyków, traktowane jako materia, którą kształtuje się za pomocą władzy. Rasiński, bohater powieści, cieszy się z niepodległości, ale to radość z „odzyskanego śmietnika”, który dopiero – jak mówi Barcz-Piłsudski – trzeba ująć „w ramy”, czyli wtłoczyć w państwo i politykę niepodległą. Barcz spogląda przez okna swojego gabinetu na warszawską ulicę: „(..) tam za oknami ludzie krzątają, biegają, rzeczy, sienniki, wozy, maszyny, zajdy i sznury ze sobą wloką, a nie wiedzą, iż krok ich, czas, życie, siły i zdrowie policzone jest w tekach mobilizacyjnych (...)”. Lecz jednocześnie mamy też wspaniałą, końcową scenę powieści, gdy Barcz i major Pyć, szef jego wywiadu, jadą pod Warszawę i trafiają przypadkiem na ludowy festyn strażacki: „Tu ciasta jakieś sprzedawano, białą pierśią z koszów ku słońcu wychylone, ówdzie, w kolisku dzieci, bzykał gumowy wąż, tam znów wlekli jacyś

dostojnicy lite tłuszczem zwoje kiełbasy. Jeszcze gdzie indziej z lakierowanej budki soków tryskała śnieżną błyskawicą sztywna woda sodowa”. Barcz i Pyć siadają gdzieś obok, bo nie mogli dopchać się do piwa jak normalni ludzie, a swojej władzy – będąc tu *incognito* – używać nie chcieli. Patrzą w zamyśleniu na kolorowy obraz prostego i wesołego życia. Generał, który nagle rzuca pytanie – „Po co!? (...) Po co tyle mordęgi, tyle życia mojego, cudzego – żeby co?...”. Pyć, którego matka zmarła ze zgryzoty po tym, jak dał w twarz jeszcze za carskich czasów szkolnemu dygnitarzowi, odpowiada: „Żeby za lat dziesięć, dwadzieścia, z każdą chwilą – coraz łatwiej... Pod każdym względem... Więc – żeby tornister był praktyczniejszy... Albo – żeby łatwiej znieczulano... Albo – co tam trzeba w sprawie uzupełnienia tablicy pierwiastków chemicznych... Albo – żeby, jak będziemy wracać kolejką nie przesiadać się już, a prosto... Ułatwienie – ułatwienie... Żeby ten nie znany nam, obojętny człowiek, który będzie z jakiegoś powodu iść za lat trzydzieści czy czterdzieści na przykład przez plac Zbawiciela – żeby nie potrzebował gonić, dyszeć. Lecz żeby od razu, krótszym sposobem mógł znaleźć wygodniejszą komunikację... Wieczne ułatwienie...”. A więc – żeby możliwe były „ułatwienia”, potrzebne są „ramy”, potrzebny jest ktoś taki jak Barcz i Pyć. Nie muszą to być generałowie ani majorzy – czasy mamy przecież inne, ale zawsze muszą to być ludzie, którzy wiedzą, jak robi się te „ramy” dla zwykłego, normalnego życia i którzy nie raz słyszeli o czym szepce noc za oknami. Bo to, co społeczne, aby mogło wzrastać, potrzebuje pierwiastka polityczności. Bez niej pleni się bezładnie i zdane jest na łaskę losu. Na razie możemy o takiej syntezie tylko marzyć, traktując historyczne świadectwa jako rodzaj miary, którą należy przykładać do teraźniejszości. Ale kiedyś ten czas nadejdzie. Oczywiście, o ile historia podaruje nam – nam, jak wszystkie pokolenia Polaków, żyjącym między Niemcami i Rosją – dostatecznie dużo czasu.

Dariusz Gawin

Tekst pierwotnie opublikowany w 6. numerze Teologii Politycznej pt.
"Śmierć i polityka"